

## I nagroda w konkursie: LUBLIN - MOJE MIASTO

W znacznym skrócie drukujemy pracę, która uzyskała I nagrodę w konkursie na relacje, wspomnienia i pamiątki pod hasłem: LUBLIN — MOJE MIASTO. Dokonując skrótów zrezygnowaliśmy z wielu istotnych często i barwnych szczegółów oraz opinii autorki, zachowując jednakże zasadniczy tok jej wywodów oraz fakty świadczące o kolejach życia. Zgodnie z życzeniem autorki fragmenty drukujemy pod obramieniem przez nią godłem.

**L**UBLIN jest moim rodzinnym miastem; urodziłam się w roku 1926 przy ul. Szpitalnej, w mieszkaniu na poddaszu.

O komforcie tego pomieszczenia niech świadczy fakt, że z trudem mieściło się w nim tylko jedno łóżko i kufer, który służył jednocześnie do siedzenia — zamiast krzesła oraz zastępował po części szafę, na którą już nie było miejsca. Ten maleńki pokójek nie miał również ani kuchni, ani pieca.

Tę małą kłitkę zamieszkiwały cztery osoby: babcia, mama, ciocia i ja. Ojca nie miałam. Matka moja pracowała fizycznie na różnych magistrackich robotach, zarabiała przeciętnie półtora złotego dziennie, lecz rzadko trafiały się takie okazje; przeważnie sterczała całymi tygodniami przed pośrednictwem pracy jako bezrobotna, gdyż ludzie bili się po prostu o pracę. Dostawała czasem za pomocą w wysokości 10 zł miesięcznie, za które nie sposób było wyżyć. W tym okresie ojciec mojej koleżanki zarabiał 250 zł miesięcznie, był urzędnikiem w izbie skarbowej.

Często do drzwi naszych pukał głód, przeważnie babcia przynosiła żupę z jakiejś biednej kuchni, lub od Urszulanek, gdzie mieściło się gimnazjum dla zamożnych dziewcząt — córek właścicieli ziemskich, których wychowaniem zajmowały się zakonnice. Biedacy u wrót klasztornych dostawali zlewki obiadów tych pańskich dzieci — w zupełności można nieraz było znaleźć kawałek ciastka lub wędliny, które wylawiało się jak przysmak.

**C**ZASEM chodziłam na obiad do ciotki, która była służącą w zamożniejszych domach i ukradkiem mogła mnie jako małe dziecko nakarmić, żeby pani nie widziała.

Najlepiej z naszej rodziny powiodło się wujkowi, który jakiś czas również mieszkał z nami w tej maleńkiej kłitce. Jako mężczyzna łatwiej dawał sobie radę w życiu, a że był sprytny i pojętny, szybko stanął o własnych siłach. W jakiś sposób wkroczył się za pikolaka do restauracji, od której już później nie odszedł. W szybkim czasie awansował na kelnera i później pracował w najlepszych lokalach.

Pamiętam wielkie przeżycie, gdy pierwszy raz szłam do szkoły i mama kupiła mi za szosowane pieniądze prawdziwy sznyel uczniowski z błyszczącymi guzikami, o którym marzyłam już od dawna. Pamiętam, na ul. Rybnej, na tak zwanej Psiej Górze, mieścił się targ starzyzny. Stare Żydówki sprzedawały tam gorący bób, placki z cebulą i obarżanki. Zanim poszłam do szkoły, która również mieściła się na Starym Mieście na ul. Jezuitkiej (obecnie Trybunalska, gdzie mieści się teraz Teatr Lalki i Aktora), już wcześniej poznałam zakątki Starego Miasta, gdyż często z babcią przychodziłam na ten targ, który mnie ogromnie interesował. Do szkoły nr 12, mieszczącej się na ul. Jezuitkiej chodziłam tylko jeden rok, później przeniesiono mnie do szkoły nr 9, która znajdowała się początkowo przy ul. Narutowicza 16 w podwórzu: małe klasy, ciasne korytarze uniemożliwiały dzieciom swobodę ruchu. Później przeniesiono tę szkołę na ul. Strażacką do nowego budynku straży pożarnej, który przeznaczono na szkołę.

**P**AMIĘTAM, że na zamożniejsze dzieci w szkole pani mówiła po imieniu, nas, biedniejsze dzieci, ten zaszczyt nie spotkał — znano nas tylko z nazwisk. To zróżnicowanie zależne od stopnia zamożności utkwiło mi głęboko w pamięci. W szkole było dożywianie biedniejszych dzieci. Dostawaliśmy na dużej przerwie kubek białej kawy i pajdka suchego, pyłowego chleba. Dzieci anemiczne dostawały także tran.

Chodząc do szkoły na ul. Strażacką miałam wiele koleżanek mieszkających na Rurach Jezuitkich, gdzie bardzo lubiłam chodzić. Szczególnie podobały mi się małownicze wawoży, zwane jarugami, gdzie chodziliśmy na orzechy i jeżyny. Rury były jeszcze z innych względów bardzo interesujące i tajemnicze. Otóż przed kolejką znajdował się dwór dziedzica Michalewskiego osnuty legendą o nawiedzeniu go przez złe duchy. W domu ze tram — według opowiadań mieszkańców — straszno.

**W**ROKU 1937 sytuacja naszej rodziny uległa poprawie, gdyż babcia otrzymała emeryturę i wyrównanie za trzy miesiące. Dostała aż 60 zł. Był to dla nas majątek, nigdy nie widziałam takiej ilości pieniędzy, więc czułam się za babcią — bardzo bogata. Wyprowadziliśmy się wtedy na ul. Narutowicza, co prawda też do suterenu, ale większej i trochę widniejszej. Placiłszy za nią 11 zł miesięcznie. Babcia mając trochę gotówki zaczęła handlować kwiatami na targu, który mieścił się przy ul. Świętoskiej, gdzie teraz jest skwerek. Było to wówczas największe targowisko w Lublinie, pełne straganów i przekupniów handlujących wszystkim, czym się dało zjeżdżać się z okolicznym wiosek z produktami rolnymi i inwentarzem. W miejscu, gdzie obecnie są podcienia, mieściły się kiedyś jatki — prywatna własność miejscowych znanych rzeźników.

Gdy skończyłam szkołę powszechną był już rok 1939, niósłszy Polskę kłękę wrześniową. Nie bardzo wiedziałam co ze sobą zrobić po skończonej szkole, na dalszą naukę nie było nas stać, zresztą nie byłam celującą uczennicą. Do pracy jednak byłam trochę za młoda i mama nie chciała mi skrać dzieciństwa.

Po zajęciu Lublina Niemcy pozamykali wszystkie szkoły, a resztowali i wywołali nauczycieli, zniszczyli wiele cennych dzieł naukowych i książek. Dalsza nauka była niemożliwa. Dopiero w roku 1940 Niemcy otworzyli szkoły, ale tylko zawodowe. Zapisalam się więc do szkoły handlowej, nazwanej im. Laury Leotler, mieszczącej się w klasztorze na ul. Podwał. Była to dwuletnia żeńska szkoła obejmująca czteroletni okres nauki.

Lecz w niedługi czas, bo w listopadzie 1942 r., wysiedlili nas Niemcy z Lublina w okolice Krasnegostawu. Dano nam dwie furmanki, na które trzeba było zmieścić cały swój dobytek. Jechaliśmy wtedy cały dzień, dopiero późno w nocy zjechaliśmy na miejsce. Była to duża wieś Tarnawa koło Wysokiego. Poniewierki, przeżyć i głodu nie będę opisywać, gdyż to nie dotyczy wspomnień bezpośrednio związanych z Lublinem, w każdym razie kontakt z

miastem pozostał w dalszym ciągu, gdyż moja matka zmuszona była handlować, zębami nie pomierali z głodem.

**T**AKA sytuacja trwała przez cały rok, aż wreszcie postanowiliśmy na los szczęścia wrócić do Lublina, zamieszkać u wujka, zameldować się tymczasowo, znaleźć jakąś pracę i ściągnąć rodzinę ze wsi. No i udało się. Zaczęłam pracować co prawda fizycznie, w pralni chemicznej na Probstowie w firmie Gotzego, ale zarabiałam już trochę pieniędzy na życie. Pomauł też ściągnęłam ze wsi mamę i babcię,

nicach, gdzie echa walki słabo było słychać.

Po wyzwoleniu nadal pozostaliśmy w tym samym mieszkaniu na Starym Mieście, choć była wtedy jedyna okazja mając jakieś przyzwyczajenie mieszkanie po Niemcach, by wrócić mieszkać jak człowiek i wynieść się z tych ciemnych nor. A inni ludzie w tym okresie zabrali po Niemcach piękne, umiłowane mieszkania z szafami pełnymi ubrań i innych przedmiotów. Niektórzy w tym czasie zrobili majątek uważając, że im się to słusznie należy, gdyż potracili swoje niemiecki. Lecz odmiennego zdania była moja rodzina, uważając to za zwykłą kradzież. Nie mieliśmy dostojnie nie, jak się wyprowadziła wujenka zabrała ze sobą wszystko, zostaliśmy w czterech ścianach. Później dopiero odkupiliśmy od kogoś stare meble, które przez dłuższy okres stanowiły nasz jedyny dobytek.

Bardzo chciałam po wyzwoleniu dalej się uczyć,

awans na zastępcę głównego księgowego i dotychczas pracuję na podobnym stanowisku, choć w innej instytucji. Wówczas stwierdziłam, że mój zasób wiadomości ze szkoły handlowej z czasów okupacji jest niewystarczający, postanowiłam zatem uzupełnić swoje wykształcenie nie przynajmniej do poziomu szkoły średniej ogólnokształcącej. Praca w biurze stworzyła mi możliwość dalszej nauki. Z jedną ze swych koleżanek zaczęłyśmy się przygotowywać do egzaminu do szkoły handlowej im. Vetterów. Skończyłam 5-letnie technikum handlowe i dopiero w 36 roku życia zdobyłam świadectwo dojrzałości (lepiej późno niż wcale). Ciężko było, bo lekcje były

lat. Gdy są w domu dwie stare kobiety, nie obejdziesz się bez kiłtni, zdawałam sobie z tego sprawę, że muszę je zawsze godzić ze sobą i łagodzić wanie. Rzadko mogłam zapraszać znajomych, by porozmawiać przy kawie. Były chwile buntu z niej strony, chciałam to wszystko rzucić i wyjechać na koniec świata. Lecz przychodziła refleksja i zostawałam. Gdybym wyszła za mąż musiałabym się przecie wyprowadzić.

Moimi rozrywkami, które się nie wyrzekłam, to książki, turystyka i śpiew, o malarstwie już dawno zapomniałam. Książki zawsze były moją słabością. Był okres, że każdego pierwszego, gdy wzięłam pobory, kupowałam przynajmniej jedną upatrzoną książkę. Mam niezłą biblioteczkę, którą nadal uzupełniam. Nie znałoby to, że nie lubię kina, teatru czy telewizji. Mam już nawet swój telewizor, którego jeszcze nie spłaciłam, przy którym spędzam nieraz długie godziny gdy jest dobry program i zła pogoda.

Wszystko ostatecznie byłoby dobre, gdyby nie zła w dalszym ciągu warunki mieszkaniowe. Przed rokiem zapisałam się do spółdzielni, ale co mi z tego, gdy mieszkanie dostanę dopiero za jakieś 5 czy 7 lat. Był okres, że starałam się o mieszkanie w kwaterunku i złożyłam wniosek, który leżał tam kilka lat, aż wreszcie przyszła nowa ustawa o mieszkaniach i dostałam odpowiedź odmowną. Moje mieszkanie nadawałoby się na jakiś punkt usługowy, magiel czy pracownię. Po odpowiednim remoncie i w świetle jarzeniowym na pewno byłby tam dobry warsztat pracy, jak podobnie zrobiono z pomieszczeniem na ul. Grodzkiej, gdzie mieści się punkt kawiecki. Chciałam się starać nawet o zmianę mieszkania, ale nikt nie chce zamienić się na gorsze... **ERA**

## NOTATKI z mojego życia

które również na razie zamieszkały u wujka w kuchni. Wujek, także wyrzucony przez Niemców ze swego poprzedniego mieszkania na ul. Kr. Leszczyńskiego, dostał po likwidacji getta mieszkanie — pokój z kuchnią na Starym Mieście przy ul. Rybnej, gdzie mieszkamy do obecnej chwili. Przed samym wyzwoleniem umierł wujek, a wujenka z dzieckiem po wyzwoleniu Lublina wróciła do swojego dawnego mieszkania zostawiając nam to na Starym Mieście. Tutaj zastało nas wyzwolenie. Siedzieliśmy przez kilka dni i nocy w głębokich kilkukondygnacyjnych piw-

lecz ze względu na zdrowie matki, która coraz częściej chorowała, musiałam się na razie pożegnać z tymi planami a wziąć się za pracę.

**N**A ogół wszędzie pracowałam długo w swoim życiu, od chwili wyzwolenia zmieniłam tylko trzy instytucje. 8 lat pracowałam u Łabędzkiego (później MPKG), 8 lat w budownictwie w księgowości i w obecnej instytucji pracuję 6 lat, czyli razem 22 lata.

Gdy pracowałam w budownictwie w księgowości — księgowość znalazem ze szkoły, po sześciu latach dostalam

po południu do późnego wieczora, a w nocy trzeba było się uczyć, lecz co się z trudem zdobywa, bardziej się później ceni. Najmniej miałam trudności z księgowością, to jest zrozumiałe ze względu na moją pracę zawodową, z której jestem na ogół zadowolona. Powodem tego są może dobre warunki pracy a także niewiele układające się współzycie z ludźmi.

Jednak życie moje osobiste nie ułożyło mi się nalezyście. Nie wyszłam za mąż poświęcając się całkowicie rodzinie, która, jak mi się zdawało, bez mnie nie dałaby sobie rady. A może wpadłaby znów w nędzę? Nadal ze mną mieszka matka-emerytka i 70-letnia ciocia, Babcia umarła mając 90